

Od autora: W minionych dwóch rozdziałach opisałem trud bohatera i narratora przygotowywania filmu na Festiwal Filmów Studenckich i klęskę tego przedsięwzięcia.

Sfrustrowany narrator spotyka boksera - kolegę z rodzinnej miejscowości. Piją razem piwo i wdają się w bójkę z wyrostkami.

Obaj są zaaresztowani i otrzymują wyrok w zawieszeniu.

Zajmującego czytadła, życzę Koleżankom i Kolegom po piórze oraz Czytelnikom. Kj

Rozdział 17 *Sukces i klęska*

Do pokoju w hotelu robotniczym wróciłem późnym popołudniem. Na mój widok zdziwioną minę zrobił hydraulik, z którym dzieliłem pokój.

– Gdzie ty się szlajasz? Ciebie szukają – powiedział.

– Kto mnie szuka? – Zdenerwowałem się, bo mina współlokatora wydawała się nie wróżyć nic dobrego.

– Już dwa razy na portiernię dzwonił jakiś Jomski. Portierka mówiła, że masz być dzisiaj w jakiejś waszej stodole.

– Może Joński?

– Czort go znajet. Powiedz lepiej jaka była ta kurwa?

– Co za kurwa?

– No ta, co jom jebałeś całom noc.

– Właśnie wracam z pielgrzymki na Jasną Górę – ty ośle. – Kłamałem jak najęty – Potrafisz ględzić tylko o jednym.

– Uważaj, bo ci uwierzę. Jesteś brudny i nie dotykaj mojego ręcznika Mogłeś złapać syfa.

– Nigdy baranie nie dotknąłem twojej ścierki. A jestem wymięty, bo po modlitwach spałem w ubraniu.

Umyłem się, ogoliłem i przebrałem w czyste ciuchy. Do Stodoły wyruszyłem z duszą na ramieniu. „Czyżby wiedzieli o bijatyce w Crystalu? Może już wiedzą o wyroku, odbiorą legitymację SCF-u i wywalą na zbitą mordę”?

Jońskiego zastałem koło kawowego baru.

– Dobrze, że jesteś, za chwilę zacznie się zebranie – powiedział na przywitanie.

– Co za zebranie? Ma coś wspólnego ze mną?

– Zdaje się. Chyba nie tylko z tobą.

Kiedy weszliśmy do sali kameralnej, rozpaczliwie myślałem jak się bronić.

„Będę musiał powiedzieć, że zostaliśmy z Załomskim zaatakowani”. W środku siedzieli już wszyscy filmowcy. Moje przekonanie, że zostanę pozbawiony członkostwa filmowego klubu, wzmocniła obecność prezesa Stodoły. Stał obok Karpińskiego z poważną miną.

– Słuchajcie. – Zaczął napiętym głosem Karpiński.

Ucichły szmery rozmów. Jeszcze niedawno szef filmowców był przygnębiony, lecz teraz znowu się wyprostował. Był wprawdzie uśmiechnięty, jednak błąkał się mu na twarzy chytry uśmieszek. Zaciśnął zęby i zobaczyłem, jak poruszyły się mięśnie na jego szczękach.

„Ciesz się, że będę mnie wywalać”? – przemknęło przez głowę.

– Te cwaniaki z Krakowa załatwili nas na cacy glansy. Nie możemy się z tym pogodzić – przemówił szef filmowców.

Na chwilę zgłupiałem, moment później odetchnąłem z ulgą. „To jednak nie o mnie”? – Jeszcze nie mogłem uwierzyć.

– Zrobili nas na szaro jak stado baranów! – podniósł głos jak chyba Hitler na wiecu NSDAP. – Rozwiesimy plakaty we wszystkich uczelniach Warszawy i zorganizujemy RETROSPEKTYWĘ festiwalu krakowskiego! Zaprosimy filmowych krytyków. Niech zobaczą, czy się pławimy w nieróbstwie.

„Co za retrospektywę? Coś w rodzaju powtórki Festiwalu”? – zapaliła się w mózgu isierka nadziei. „Przemawia jak nawiedzony, może jeszcze nie wszystko stracone”?

Zgodnie z życzeniem Karpińskiego Retrospektywę zorganizowano w Stodole na jednej z najbardziej znanych w stolicy sal, służącej trzy razy w tygodniu jako miejsce największych dyskotek. Ustaliliśmy formułę naszych prezentacji. Każdy z twórców po wyświetleniu swojego filmu miał wejść na scenę i odpowiadać na pytania padające ze strony widowni.

Godzinę przed rozpoczęciem retrospektywy podszedł do mnie Karpiński. Był w dobrym nastroju.

– Mam zabawny pomysł – zagadnął. – Po swoim pokazie wyjdiesz przed publiczność w towarzystwie Leszka Kowalewskiego. Szyję obwiążesz bandażami i wychrypisz do widowni, że boli cię gardło. Na zadane pytania, będziesz szeptał odpowiedzi do ucha Leszkowi, a on będzie mówił do mikrofonu.

„Czego on chce? Zrobić ze mnie balona”? – pomyślałem i skrzywiłem się nieufnie.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – odpowiedziałem niepewnie.

Dzięki możliwości ponownego pokazania filmu przed dużą publicznością miałem możliwość zmycia z siebie odium krakowskiej klęski. Rewanżową projekcję traktowałem bardzo poważnie. „On chce sobie robić ze mnie jaja”?...

– Straciłeś poczucie humoru? To będzie niezły numer. – Nalegał Karpiński.

Rozstałem się z nim pełen mieszanych uczuć.

Zemsta Karpińskiego na Krakusach – czyli Retrospektywa Festiwalu Krakowskiego – odbywała w zamienionej na widownię sali Stodoły. Plakaty rozwieszone we wszystkich warszawskich uczelniach zrobiły swoje. Nie wszyscy chętni pomieścili się na krzesłach rozstawionych w widowni. Większość ciekawskich przyciągnęła poczta pantoflowa. Magnesem powodującym przeludnienie Stodoły, była pogłoska o przesłaniu filmu Indolencja Marka Dążewskiego.

Dążewski ośmielił się nakręcić film antykomunistyczny.

Po wygłoszonym przez Jurka Karpińskiego wstępie, w którym zarzucił krakowskim organizatorom fałszerstwa, zaczęto projekcje. Najpierw puszczono nagrodzoną za scenariusz Paskudę. Na sali zapadła cisza. Coś tam do mikrofonu wystękała autorka filmu. Chyba nikt nie zadał jej pytania.

Ponownie usadowiony w kabinie projekcyjnej, pilnowałem magnetofonu, aby zatrzymać dźwięk na parę sekund. Miałem owiniętą szyję watą i bandażem. Nie byłem przekonany do pomysłu, rozbawienia publiki kwękaniem, wynikającym z uszkodzonej przez chorobę wymowy Leszka Kowalewskiego. Jednak zależało mi, na sfinansowaniu profesjonalnego nagrania dźwięku, mógł to załatwić Karpiński, więc nie mogłem odmówić.

Z kabiny projekcyjnej wybiegłem sprintem. Już w czasie mojego pokazu na widowni słyszałem rześiste oklaski, po zakończeniu rozległa się ich burza. Przed poprzedzającymi mój pokaz projekcjami nikt nie klaskał.

– Sukces, kurwa, sukces, wygrałem... – mówiłem do siebie półgłosem, biegnąc w dół po schodach. Wzruszenie ścisnęło mi gardło. Przebiegłem przez hol, przepychałem się, przez zatłoczoną salę. Na scenie czekał z mikrofonem Jurek Karpiński, obok niego Leszek Kowalewski.

– Nareszcie film, który nagrodzono oklaskami. Prosimy do mikrofonu autora – zapowiadał szef SCF-u. – Ale co to? – Udał zmartwioną minę. – Kazek Junosza jest zaziębiony?

Na estradzie odpowiadałem za pośrednictwem bełkocącego Leszka na jakieś zadane mi pytania. Nikt się nie zaśmiał.

Potem stanąłem w zatłoczonej wejściu na salę widowiskową. Niektórzy spoglądali na mnie ukradkiem. Spięty śledziłem reakcję publiczności na zamykający Retrospektywę pokaz filmu Dążewskiego. Tu prawie wszyscy przyszli na jego Indolencję. Co tu kłamać? Bystry obserwator dostrzegłby we mnie kogoś przypominającego wrednie przyczajoną hienę. Chciałem usłyszeć i zobaczyć, czy oczekiwany przez nabiętą widownię film dostanie tyle oklasków, co mój. Nie życzyłem temu filmowi takiego sukcesu, po wielu życiowych niepowodzeniach wreszcie chciałem być najlepszy. Zamieniłem się w słuch, obserwowałem zgromadzony tłum. Usłyszałem oklaski. Czy mogło być ich więcej niż podczas projekcji Idoli? Raczej nie. Chyba mniej. Plotki o antykomunistycznym filmie musiały rozbudzić nadmierne oczekiwania. Film, mimo walorów artystycznych, był w swojej wymowie smutny. Brakowało w nim miejsca na zabawne gagi. Nie pomogła śmiała scena erotyczna oraz dobre zdjęcia nakręcone w kolorze, film był ponury jak

życie w peerelu. Chyba widzów nieco rozczarował.

Konferencja prasowa, na którą zaproszono dziennikarzy, odbywała się w sali kameralnej. Po jednej stronie siedziałem z autorami filmów, po drugiej prasa. Coś tam mówiono, zadawano nieważne dla mnie i dla Marka Drązewskiego pytania. Nie rozmawiano o innych filmach. Wstrzymałem oddech, kiedy mikrofon wzięła do ręki piękna dziennikarka. Powiedziała, że reprezentuje dwutygodnik *Twórczość*.

– Moim zdaniem najlepszym filmem był *Idole* Kazimierza Junoszy.

Któryś z dziennikarzy uznał za lepszy film Drązewskiego. Seksi żurnalistka upierała się przy swoim. Z uznaniem wyrażała się o oryginalnej, stworzonej przeze mnie dramaturgii i odważnych pomysłach. Nikt nie kwestionował jej opinii. Na koniec podeszła do mnie i wypytywała o plany na przyszłość. Niezdecydowanie powiedziałem, że będę się starał dostać na łódzki wydział reżyserii. Byłem na siebie zły, odpowiadałem, unikając jej bystrych oczu. Pewnie ta ładna kobieta spodziewała się rozmowy z autorem poprzepionym jej pochlebstwami. Kimś pełnym wiary w kolejne sukcesy. Jednak udawanie optymisty przekraczało moje możliwości. Jeszcze rano, jadąc więźniarką do sądu, czułem się zdruzgotany. Musiała mi się wryć w podświadomość noc spędzona w areszcie. Mocno chrapał zamknięty ze mną w celi Załomski, a ja nie mogąc zasnąć z niepokojem, rozważałem ponure wizje niedalekiej przyszłości. Miałem wkrótce poślubić Wałbrzyszanekę, za kilka miesięcy zostać ojcem. Byłem przekonany, że otrzymam wyrok skazujący na więzienie. Przecież zapowiedział to nam śledczy w komisariacie na Wilczej. Nie wiedziałem, kiedy wyjdę na wolność. „Za rok? Może za dwa albo i więcej? Nie będzie mnie przy narodzinach dziecka. Po paru latach syn albo córka dowie się, że ma ojca kryminalistę”. Kilka godzin później, po otrzymaniu wyroku w zawieszeniu, postanowiłem wrócić do domu Rodziców. Nie wiedzieli o moich małżeńskich planach. Jednak zupełnie nieoczekiwany sukces w czasie retrospektywy, po raz kolejny postawił mnie wobec nowej rzeczywistości. Zadawałem sobie pytania kolejne. „Czy teraz, jak Rodzice dowiedzą się o moim dokonaniu, zechcą finansować studia na łódzkim wydziale filmowej reżyserii? Czy zmienię zdanie, kiedy dowiedzą się o małżeństwie i nadchodzących urodzinach dziecka?” Na nurtujące mnie wątpliwości nie znajdowałem klarownych odpowiedzi, jawiły się raczej ponure wizje.

Następnego ranka niezdecydowanie zacząłem się pakować na wyjazd do Wałbrzycha. Postanowiłem jechać nocnym pociągami. Przemożna siła ciągnęła mnie do narzeczonej. Pragnąłem jej bliskości. Nawet uśmiechnąłem się, bo przyszło mi do głowy niemieckie przysłowie: *Fotze zieht mehr als fünf Pferde¹*. Wypadało jednak pożegnać się w Stodole. Ponadto chciałem jeszcze się upewnić, czy pogłoska sprzed miesiąca nie mija się z prawdą. Pamiętałem, jak ktoś powiedział, że telewizja miała robić nabór filmowych realizatorów, obiecując skierowanie wybrańców na zaoczne studia na wydziale reżyserii. Miałem mocny atut, mój film okazał się najlepszy. Gdyby to okazało się prawdą i dostałbym taką szansę, zostałbym kimś. Mógłbym zarabiać na rodzinę i studiować na wybranym przez siebie kierunku.

* * *

Jeszcze raz zaiskrzyła się we mnie nadzieja na filmową przyszłość, kiedy Karpiński powiedział, że skierował mnie na rozmowę kwalifikacyjną do telewizji. Zdziwiłem się, gdy niby od niechcenia zapytał, czy należę do zetemesu albo do partii.

- Jeśli to konieczne, zapiszę się do pezetpeeru – powiedziałem, sam zaskoczony wygłoszoną deklaracją.
- Nie jest to takie chop siup. Musiałbyś najpierw przejść okres kandydatury do partyjnej organizacji.

Termin mojej rozmowy weryfikacyjnej na Woronicza był ustalony za nie cały tydzień.

Po paru dniach sielanki z narzeczoną wróciłem do Warszawy i odbyłem „rozmowę” z redaktorem TVP. Nie dał mi ani razu dojść do głosu. Właściwie powinienem zwyzywać go od świń i bydłaków. Dopiero po wyjściu z jego gabinetu nabrałem przekonania, że nie raczył oglądnąć mojego filmu. Najwyżej obejrzał jakiś fragment. Już na powitanie patrzył na mnie jak przez szybę, uciekając gdzieś oczami. Beształ mnie jak gówniarza. Podnosił głos, mówiąc, że nie mam pojęcia o filmowym warsztacie, zarzucał mi zrobienie filmu pełnego dłużyzn, przegadanego i o zerowej wartości.

Opuszczając gmach telewizji, czułem się oszołomiony, jakby spadł mi na głowę sufit. Dopiero na świeżym powietrzu zaczęło docierać, że przegrałem życie...

Rozdział 18 *Idee fixe*

Po filmowej przygodzie w Stodole wpadłem w depresję. Ożeniłem się i narodziny Syna, zamiast pokrzepić na duchu, przygnębiły dodatkowo. Nie miałem pomysłu na życie, a tym bardziej na rolę małżonka i ojca. Myślałem nieraz o samobójstwie. Powoli jednak, mając się różnych zajęć, dochodziłem do siebie. Wróciły mrzonki o pisaniu. Zacząłem nielegalną pracę domokrażcy, która wraz z bokerskimi marszobiegami leczyła z melancholii. Penetrowałem osiedla dolnośląskie i po nocach w hotelach, porannej biegowej zaprawie, siadałem w kawiarniach z brulionem i długopisem. Pobudzony kofeiną, chwilami doznawałem złudy pisania czegoś wartościowego. Później, wśród roju skreśleń i wstawek trudno było się połapać. Wrywałem zabazgrolone strony, a czasem rozszyfrowując je, przepisywałem coś „na czysto”. Popołudniami wkręcałem lokatorom tandetne wizjery, dzięki którym rzekomo mogli dostrzec dzwoniącego do drzwi intruza, czy nawet groźnego bandytę. Do ich instalowania zachęcałem przeważnie wystraszone najściem starsze kobiety. Wmawiałem im, że judasze są znakomitym zabezpieczeniem przed napaścią i pozwalają unikać nieproszonych gości. Powtarzałem wszem i wobec: „ostrożności nigdy za wiele”. Otwory obserwacyjne miały jednak liche soczewki i problemem bywało rozpoznawanie najbliższych członków rodziny.

Lepsze zarobki dawało uszczelnianie okien tak zwaną szwedzką taśmą. W ciągu dniówki mogłem zarobić połowę pensji pracującego przez miesiąc Ojca – co by nie mówić – dyrektora koksowni. Fenomen świetnych zarobków zawdzięczałem bylejakości gierkowskiego programu budowy blokowisk. Wilgotne niesezonowane drewno stolarki okiennej, schnąc ulegało deformacji. Powstawały szczeliny, przez które hulały w mieszkaniach przeciągi. Tak zwana szwedzka taśma tylko nieznacznie uszczelniała przewiewy. Cza-

sem jednak potrafiła zakleszczyć okno na wieki. Pewnego dnia kończyłem pracę, objając taśmą drzwi balkonowe, kiedy w sąsiednim pokoju zaczęła się pieklić żona głowy rodziny.

– Tego okna nie da się otworzyć!

Jej mąż, nie chcąc przed córkami i żoną ujść za chłopa bez jaj, tak się wyteżył, że usłyszałem łoskot wyrwanej futryny okiennej. Rozległ się zgrzyt i prawie jednocześnie trzask oraz brzęk tłukącej się szyby na głowie chlebowawcy rodziny. Wpadłem do pokoju i ujrzałem jego twarz ociekającą krwią. Siedział na podłodze, uwięziony wewnątrz potrzaskanego okna.

– To panu nie ujdzie na sucho. – Zagroziła małżonka, rzucając się do telefonu.

W popłochu zbierałem narzędzia. Za bijatykę z Załomskim w Crystalu ciążył na mnie wyrok w zawieszeniu. „Iść na dwa lata albo więcej do więzienia? Tylko nie to!” – zerwałem się do ucieczki. Dookoła osiedla goniła mnie żona z wilczurem i trzema córkami.

– Stój ty skurwysynu! Łapać go, gdzie jest milicja?! – piskały na przemian córki i matka. – Oszust prawie zamordował ojca i męża!

Fuksem udało się zbiec. Jedynie wilczur, zanim nie przywaliłem mu kamieniem, rozszarpał mi nowe dzinsy Wrangler i ukąsił w zaokrąglenie poniżej kręgosłupa.

Innym razem, wierząc dziurę do wkręcenia judasza, tak mocno nacisnąłem na stare spróchniałe drzwi, że wpadłem z ręczną wiertarką do środka. Wyłamałem kawałek zmurszałej deski. Rozzłoszczeni gospodarze zażądali odkupienia drzwi. Kiedy zagrozili milicją, ponownie się wystraszyłem odwieszenia warszawskiego wyroku. Przypomniałem sobie o ucieczce dookoła osiedla, wilczurze i parotygodniowych kłopotach z przyjmowaniem pozycji siedzącej. Poszkodowani właściciele, schowali mi torbę z narzędziami, w której trzymałem dowód osobisty. Z trudem ich udobruchałem rekompensatą przekraczającą dzienny zarobek.

* * *

Mimo dobrych dochodów, pełnej niezależności, bo sam sobie byłem szefem, miałem dość zajęcia grożącego wylądowaniem w kryminale. Zazdrościłem bratu trenerskiej pracy w bokserskim klubie. Gdybym jak on pracował tylko trzy godziny dziennie, miałbym czas na pisanie. Mimo niezadowolających prób roili mi się mrzonki o zastąpieniu filmu pisarstwem. Zapytałem brata, czy widziałby jeszcze dla mnie szansę na powrót do pięściarstwa. Zdecydowanie mi odradzał.

– Może jeszcze nie jesteś za stary, ale miałeś za długą przerwę. Żeby dojść do formy, musiałbyś znowu walczyć w drugiej drużynie, stoczyć kilkanaście walk. Tym z rezerwowej drużyny kopalnia płaci znacznie mniej. Z czego będziesz żył? – Zasiewał we mnie wątpliwości.

Jednak się uparłem. Już po dwóch tygodniach zapalczywego objania gruszki i worka oraz porannych biegów stoczyłem z bratem pierwszy sparing w suterynie naszego domu. Wprawdzie mnie oszczędzał, jednak wypunktował mnie jak sztubaka. Nic dziwnego, był w świetnej formie. Regularnie staczał wyrówna-

ne treningowe pojedynki z najlepszymi bokserami, a czasem spuszczał na sparingach łomot szkolonym juniorom, gdy któremuś zaczynała syczeć we łbie sodówka. Niedawno brat się chwalił, że sam otrzymał z klubu propozycję dodatkowych pieniędzy i powrotu na ring. On jednak wołał rolę trenera.

Na pierwszym treningu w wyremontowanej sali treningowej Victorii spotkałem Edka Załomskiego.

– Witam koleżkę spod celi – przywitał mnie z niewyraźnym uśmieszkiem. – Co, odechciało się tenisa? Chciałbyś wrócić do boksu? – zapytał ze zdziwioną miną.

– Jednak ciągnie mnie do pięściarstwa – odpowiedziałem niepewnie.

Były reprezentant kraju skrzywił się, jakby wypił szklankę octu.

Z relacji brata dowiedziałem się, że wprawdzie wygrał parę walk, ale ostatnio przegrał przez ciężki nokaut. Kierownik drużyny zmuszał Edka do zbijania kilogramów – to osłabiało organizm. Zaczęto go wystawiać w kategorii średniej, bo do wagi półciężkiej zakupiono groźnego zabijakę. Nazywał się Wasiak, a na widok jego przypominającej goryla facjaty, niejednen mógłby narobić w gacie, gdyby spotkał boksera po zmroku, w opustoszałej uliczce. Właśnie on mi powiedział o załamaniu się kariery Załomskiego w warszawskiej Legii. Od paru tygodni uczęszczałem na przedpołudniowe treningi z reprezentacyjną drużyną, przygotowującą się do walk o wejście do drugiej ligi. Miałem za sobą cztery tygodnie treningów w klubie, kiedy jak co dzień wracaliśmy z Wasiakiem do centrum Wałbrzycha. Popiskujący resorami trolejbus marki Skoda, wioząc nas rozświetloną słońcem główną ulicą Sobieścina z kamienicami pocerniałymi od wyziewów kopalni Victoria. Po miesiącu treningu w klubie, przerywanego wyjazdami, których celem było dziurawienie drzwi wizjerami, czułem się nietęgo. Siedziałem w milczeniu obok zabijaki z półciężkiej, który traktował mnie jak powietrze. Gryzł słonecznik, wypływając na dłoń skorupki przeżuwanego nasienia. Żeby przerwać krępującą ciszę, zapytałem o Załomskiego.

– Co się z nim stało? Przecież był świetnym bokserem.

– On załamał się przez babę. Teraz to już szmata nie bokser – powiedział pięściarz o twarzy goryla. – Jak go wzięli do woja, do Legii, często przyjeżdżał do takiej kurewki. Ale rozumiesz, ciągle zgrupowania kadry, wyjazdy zagraniczne, no nie upilnował suki. Zaczął ją pierdolić bamber ze Starych Bogaczewic. A on wrócił do Wałbrzycha i tak się przejął, że został wrakiem samego siebie. Zresztą widziałeś tydzień temu. Jak mu pizdnałem na sparingu, kręcił się po ringu na czworakach, jak chory kundel.

Przejąłem się opowieścią Wasiaka. Niczym pamięć o sennym koszmarze, powróciło wspomnienie, jak to po zerwaniu z seksowną Ewusią, sam zacząłem tracić formę.

Trolejbus przejechał koło zlikwidowanego tramwajowego przystanku, gdzie jeszcze przed paroma laty po drodze do szkoły wysiadałem z bratem. Spojrzałem na asfaltową dróżkę pnącą się pod górę. Dystans siedmiu lat minionych, od tamtych czasów, wydawał się tak odległy, jakby minęły dziesięciolecia. Tędy chodziliśmy codziennie, potem mijali poniemiecki park z poszarzałą od kopalnianych dymów zielenią. Za parkiem był nasz ogólniak. Tam zdawaliśmy maturę i wszystko wydawało się wtedy beztrudne. Dzięki dobrym zarobkom rodziców, ich wysokiej pozycji społecznej, także dzięki prestiżowi, jaki zapewniał boks, pławiliśmy się w urokach rozrywkowego życia. Załomski towarzyszył nam w dansingach i prywatkach. Miał wtedy ładną dziewczynę o podniesionych kościach policzkowych, nadających jej cech Azjatki. Mówiliśmy na nią Chinka. Kiedyś szliśmy na dancing, a Edek niósł Chinke ponad dwa kilometry na rękach. Zgrabna dziewczyna była przy kości. Widać było, jak jej ciężar zaczął wyciskać z boksera poty. Zastanawiałem się, czy niósł ją bardziej dla treningu wzmacniającego nogi, czy chcąc mieć ją blisko siebie? Na pewno był w niej zakochany. „Miałaby zostać kurwą, jak mówił o niej Wasiak”?

Na początku listopada po dwumiesięcznym uczęszczaniu do klubu trener pierwszej drużyny Wędzicha zapowiedział, że puści mnie na kontrolny sparing z Jaśkowiakiem.

„Już chce weryfikować moją przydatność do boks?” – Doznałem mieszanych uczuć. Ogarnął mnie niepokój, w którym dominował strach, ale też byłem ciekaw na ile poprawiłem formę. Wiedziałem, że nabrałem szybkości i siły. Jednak Jaśkowiaka sprowadzono z Zagłębia Turów, to pierwszoligowa drużyna. Kiedy bratu opowiedziałem o czekającym mnie sprawdzianie, on złapał mnie za rękę.

– Nie rozumiesz? Wędzicha chce się ciebie pozbyć – podniósł głos, patrząc na mnie jak na idiotę. – W wadze półśredniej mamy dwóch bardzo dobrych chłopaków. Nawet jeśli Jaśkowiak był w rezerwie Turowa, to jednak pierwsza liga. Ty wiesz, jak oni biją? Udawaj chorego i wykręć się z tego sparingu – odradzał.

Ze snu o pobieranej przez bokserów górniczej pensji obudziłem się spryskiwany zimną wodą. Nade mną stał przyglądający mi się z niepokojem trener.

Z maty ringu pomagał mnie podnieść Jaśkowiak, jeszcze miał na dłoniach rękawice.

– Dostałeś narkozę – powiedział brat, podtrzymujący mnie pod rękę. – Nie posłuchałeś – dodał z przejętą miną.

* * *

Znowu wpadłem w depresję. Na dodatek żoneczka wmawiała mi, że zachowując się jak facet, który nie wie, czego chce, wnerwiam ją i wpędzam w alkoholizm. Na początku małżeństwa, zanim bogata teściowa kupiła nam nowe mieszkanie, żona żyła niczym pingpongowa piłeczka. Trochę przebywała z naszym synkiem Alusiem w willi moich Rodziców i wtedy następowało PYK! – Czyli niczym odbita celuloidowa piłeczka wyprowadzała się do swojej matki. Nie wiedziałem, o co chodzi. Czy powiedziałem o jedno słowo za dużo? Może nie mogła znieść mojego widoku? Przecież po przegranej przez nokaut z Jaśkowiakiem czułem się jak rozdeptany kapeć. Straciłem poczucie humoru i potrafiłem godzinami patrzeć w sufit. W domu teściowej na żonę czekała sfrustrowana starsza siostra. Od czasu naszego ślubu pamiętam szwagierkę jako osobę rozchwianą uczuciowymi perturbacjami. Namawiała żonę do wspólnego picia wódki, co ułatwiała jej wyrzucać żale do świata. Siostrze żony nie układało się z „supermenem, miłością do grobowej deski”. Pojawiając się z „wizytą u syna”, sam nawilżałem gardło. Popołudniami, zazwyczaj po zamknięciu dochodowego kramu z ciuchami, wkraczała do akcji krewka teściowa.

– Nie potrzebuję was tutaj – mówiła, kierując na mnie wściekle spojrzenie. – Bierzcie dziecko i zjeżdżajcie do twojej willi.

Tak następowało powrotne PYK, niczym ścięcie w tenisie stołowym: czyli kolejna przeprowadzka żony do domu moich Rodziców. Czasem – między PYK i PYK, reakcja teściowej musiała być bardziej gwałt-

owna.

– Wypierdalaj szmato do jego willi! – krzyczała na żoneczkę. – Chcesz się rozpić jak ta kurwa? – ubliżała córkom.

Pewnego zimowego dnia, między jednym PYK a kolejnym, będąc z „wizytą u dziecka”, po dwóch głębszych zabrałem trzyletniego potomka na sanki. Pojeżdżaliśmy z górki, chłopaczek się bardzo cieszył. Kończąc spacer, zrobiłem parę śniegowych piguł i zacząłem rzucać w drzewo. Malutkiemu Alusiowi spodobała się ta zabawa. Zrobiłem kilka mniejszych kulek i nie mogłem się nadziwić, jak trzyletni brzdąc wykonuje prawidłowy zamach i trafia w kółko, które zakreśliłem śniegiem na drzewie. „Ma ruchowy talent! – dokonałem odkrycia. – Może zostanę jego trenerem? Może mógłbym wychować świetnego tenisistę”? Zachętą do realizowania nowej idei, były płynące z mediów informacje o krociowych zarobkach Wojtka Fibaka. Nieśmiało iluzje, że mógłbym wytrenować świetnie zarabiającego zawodowca, z czasem mnie zmieniły. Ojcostwo zaczynało nabierać sensu...

1. 1. Pizda ciągnie mocniej niż 5 koni.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

Kazjuno, dodano 12.09.2019 11:47

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.